



Byle

Autor: Jakub Borkowski

Kiedys usłyszałem z ust pewnego harcmistrza rymowaną „ze mną grzecznie, bo ja społecznie”. Uznałem wtedy, że faktycznie są instruktorzy, którzy oczekują głaskania po głowach i klepania po ramionach od całego świata, za to że łaskawie poświęcają swój cenny czas na pracę *pro publico bono*. Pomyślałem też, że czasami chyba sam podświadomie oczekuję pochwały. „Ten to zrobił! I nie wziął za to ani grosza!”

Ale ostatnio naszła mnie refleksja, że z założenia „ja społecznie” wynika inna, dużo gorsza postawa niż łaknienie docenienia.

Postawa bylejakości

W swojej pracy zawodowej staram się wszystko zrobić profesjonalnie[1]. Wymyślam sposoby na przyspieszenie wykonywanych przeze mnie działań, przygotowuję się do przeprowadzanych czynności procesowych, przed poprowadzeniem szkolenia poprawiam otrzymane materiały tak, by były atrakcyjniejsze dla audytorium i tak dalej, i tak dalej. Myślę, że wynika to z dwóch kwestii: po pierwsze chcę być profesjonalny w tym co robię, by otoczenie mogło być pewne, że jeśli coś się zajmę, to będzie to zrobione dobrze[2]. Po drugie zaś dostaję za to pieniądze — pieniądze podatników. Czuję się odpowiedzialny wobec pracodawcy (i pośrednio wobec wszystkich podatników) za wykorzystanie czasu, za który mi zapłacono. Jeśli wezmę do ręki wypłatę, a wcześniej przebimbam cały miesiąc nie wykonując swoich obowiązków, to równie dobrze mógłbym te pieniądze wyciągnąć komuś z kieszeni.

Ten drugi czynnik chyba jest u mnie szczególnie silny ze względu na służbę harcerską. Przez wiele lat pracowałem za darmo i jak ktoś zaczął mi płacić za pracę (która momentami jest prostsza niż niektóre działania robione przeze mnie bez wynagrodzenia), to poczułem się zobligowany do staranności.

Mam nadzieję, że czytaliście artykuł hm. Konusa Kamińskiego. Nie jestem przekonany do niektórych wyrażonych w nim myśli, ale co do zasady się zgadzam, że [nic nam się nie należy](#). W tym jednak pies jest pogrzebany, bowiem nic nam się nie należy, ale też nic się nie należy światu od nas.

Byle co, byle jak, byle gdzie

Na pewno masz jakieś doświadczenie związane z przygotowywaniem gry, zbiórki, biwaku, zlotu, kiedy w pewnym momencie po prostu ci się nie chciało dopracować jakiegoś szczegółu i doszedłeś do wniosku, że dobra, może nie jest to mistrzostwo świata, ale jest. A wcale nie musiało być, bo nie musiałeś tego robić. I to jest prawda. Nikt nie może zmusić instruktora



do pracy, bo nie dość, że członkostwo w stowarzyszeniu jest nieprzymusowe, to jeszcze jednym z fundamentów naszej metody jest dobrowolność. Ale z drugiej strony, jeśli masz coś robić byle jak, to czy jako instruktor powinienes to robić? Oczywiście jeśli to faktycznie będzie niedopracowany szczegół dobrej gry, to owo drobne uchybienie nie jest niczym złym. Ale jeśli masz się brać za organizację zlotu okręgu, zjazdu instruktorów chorągwi czy kursu metodycznego i zrobić je byle jak, to lepiej zrezygnuj od razu. Nie rób biwaku, który nie ma celu. Nie rób gry, która nie ma sensu. Nie rób zlotu, który nie ma programu. Nie będzie twoją zasługą, że zrobiłeś cokolwiek. Będzie twoją przewiną, że zrobiłeś coś byle jak, przez co osoby uczestniczące w wydarzeniu zmarnują swój czas.

Jednak ze mną proszę grzecznie

W mojej ocenie największą winę przy takich sytuacjach ponoszą przełożeni. Najpierw popełniają błąd zlecając zadanie lub pozwalając na realizację zadania osobie, która nie ma odpowiednich predyspozycji. Później nie weryfikują, czy przygotowania idą zgodnie z planem (a częstokroć nie sprawdzają też, czy w ogóle plan powstał), czy nie trzeba pomóc instruktorowi, albo zastąpić go innym. Na koniec zaś nie rozliczają merytorycznie wydarzenia. Ile to razy jakiś instruktor wziął się za coś, zawalił na całej linii (najczęściej niestety ze swojej winy), a później nie wyciągnięto z tego żadnych wniosków i pozwolono mu na organizację kolejnej imprezy? Ile to razy przełożony powiedział, że może nie było dobrze, ale instruktor poświęcił czas! Rodzinę! Pieniądze! Pracę! Dlatego musimy mu być **wdzięczni**.

Pytanie brzmi: czy przełożony powinien pozwolić na poświęcanie przez swojego podwładnego czasu, rodziny, pieniędzy, pracy czy innych ważkich spraw na rzecz byle jakiego wydarzenia? Czy świadomy instruktor może nazywać siebie odpowiedzialnym w sytuacji, gdy poświęca część swojego życia tylko po to, by zrobić byle co? Rozumiem ideę poświęcenia czegoś „dla sprawy”, ale jeśli zrobiłbym byle co, co nie przyniosłoby efektów, to byłoby mi zwyczajnie szkoda i następnym razem albo zrobiłbym coś dobrze[2], albo wcale. Zbyt cenię swój czas, by robić byle co.

[1] Słowo „profesjonalny” za Słownikiem Języka Polskiego PWN rozumiem tu jako „będący specjalistą w jakiejś dziedzinie”, „będący na wysokim poziomie w danej dziedzinie”

(<https://sjp.pwn.pl/sjp/profesjonalny;2508549.html> dostęp: 9.10.2020)

[2] Pewnie nie zrobię nic super-ekstra-nadzwyczajnie-celująco, bo nie jestem jakąś wybitną jednostką ludzką. Ale na pewno staram się, by efekty mojej służby i pracy były co najmniej dobre.





[Jakub Borkowski](#)

Był zuchem, harcerzem, wędrownikiem, harcerzem starszym, członkiem współdziałającym i instruktorem. Działał na wszystkich poziomach OH-y, pełnił różne funkcje w okręgu. Specjalizuje się w zuchologii stosowanej i prawie karnym, ale może wymądrzać się w każdym temacie.